

Marek ZGAIŃSKI
Morderstwo
na
Majorce



Marek Zgaiński

Morderstwo na Majorce

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2022

Marek Zgaiński
„Morderstwo na Majorce”

Copyright © by **Marek Zgaiński**, 2022
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**
2022

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**

Projekt okładki: **Igor Morski**

Skład: **Jacek Antoniewski**

Redakcja i korekta: **Roma Cyprowska**

Skład pdf, epub i mobi: **Adam Brychcy**

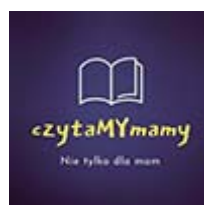
ISBN: 978-83-8119-948-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl



Morderstwo na Majorce

Od listopada 1838 do stycznia 1839 roku Fryderyk Chopin z George Sand oraz dwójką jej dzieci Maurycym i Solange przebywali na Majorce. Reszta opisanych w książce zdarzeń jest wyłącznie dziełem wyobraźni autora.

Napisanie tej książki nie było poprzedzone wieloletnimi i wnikliwymi badaniami historycznymi.

Robert siedział na tarasie kawiarni. Mimo, że miał na sobie ciepłą, tweedową marynarkę, było mu zimno. Dzień był dość wietrzny, więc zimno tym bardziej przebijало przez zapiętą pod szyję marynarkę Roberta. Choć określenie zimna może być względne, bo inaczej zimno jest w połowie lutego w Londynie, a inaczej w Marii da la Salut, małej miejscinie na Majorce. Miejscina jest na tyle mała i mało znacząca, że nie wymieniają jej żadne przewodniki turystyczne.

Przed przyjazdem na Majorkę i kupnem niewielkiego domu, Robert był przekonany, że zwyczaj południowców polega na picu kawy w okolicach godziny dwunastej. Stąd w miarę regularnie, parę razy w tygodniu pojawiał się na rynku. Na rynku, który nazywał się Rynek, były cztery knajpy. W każdej z nich Robertowi podobało się coś innego. W Ca's Xigaler mieli dającą się wypić kawę. Nie była to jego ulubiona, włoska kawa, którą można było kupić tylko w stolicy wyspy Palmie, ale po jakimś czasie się przyzwyczaił. W Sa Canyeta podawali znakomite owoce morza i steki, w C'an Tomeu dobre piwo lane z kija i pizzę, która go uwiodła, a atrakcją Can Camarotja była kelnerka, którą może i chciałby uwieść, ale nawet nie próbował z powodu różnicy wieku i nieznamomości hiszpańskiego. Juanita (tak w myślach nazywał kelnerkę) obsługiwała gości stłoczonych w środku knajpy, a Robert obserwował ją z zewnątrz, pijąc espresso i paląc papierosa.

Robert kochał palić. Połączenie espresso z aromatem tytoniu to było coś w jego mniemaniu nierozzerwalnego jak Tristan i Izolda albo Abelard i Heloiza. A w połącze-

niu z hiszpańskim piwem, które o dziwo wyszło obronną ręką w konfrontacji z jego angielskimi upodobaniami, papieros wydawał się być zespawany jak dwa stalowe kątowniki. Na amen, chociaż Robert nie był zbyt religijny. Był racjonalistą. Dokładnie psychologiem. W pewnym momencie wpadł na to, że zamiast powtarzać to samo iluś osobom, prowadząc terapię, lepiej opisać swoje doświadczenia w formie poradnika. Książka okazała się sukcesem wydawniczym i to pozwoliło Robertowi na porzucenie zawodu terapeuty i rozpoczęcie praktyki pisarsko-poradniczej, bo wydawca natychmiast podpisał z nim umowę na następną książkę, wypłacając mu sporą zaliczkę. W połączeniu z honorariami i tantiemami dało to jak na początkującego pisarza sporą sumę. Wystarczająco dużą, by myśleć o przeprowadzce z Londynu, w którym już go nic nie trzymało, i w którym dłużej nie chciał mieszkać, w jakieś cieplejsze miejsce. Zaciągnął się papierosem z ulubionego holenderskiego tytoniu, który na szczęście można było kupić w trafice przy Carrer Sa Tanca i poczuł jak wiatr wciska mu dym do płuc. Tutejszy wiatr był zupełnie inny niż londyński. Od morza do rynku Rynek było w linii prostej 17 kilometrów. Latem bryza docierała tutaj sucha, ale zimą wilgoć wręcz unosiła się w powietrzu. I teraz słony aerozol morskiej wody mieszał się w płucach Roberta z dymem holenderskiego tytoniu, a do kompletu brakowało tylko łyżeczka espresso. Tych kilku ostatnich kropli na dnie, które robią owo *vale*. Siorbnął bezwstydnie, wiedząc, że i tak nikt nie usłyszy, odstawił filiżankę i położył na spodeczku trzy euro. Kawa kosztowała 1,50

ale uznał, że w tym wypadku 100 procent napiwku to nie jest przesada. I wstał od stolika.

Postawił kołnierz marynarki i skurczyłby się najchętniej tak, żeby zakrył go po głowę. Ale przy ponad metrze osiemdziesiąt wzrostu było to trudne do wykonania. Drzwi od C'an Tomeu otworzyły się i wyszło dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach. Wyciągnęli papierosy i zapalili. Wyobrażenia Roberta jak wygląda południowy styl życia, okazały się prawdziwe. Większość klientów kawiarni wyglądała tak, jakby opuścili powierzone im stanowiska pracy i jakby mieli zamiar posiedzieć trochę dłużej niż wypicie espresso w standardowym czasie. Nie sprawiali wrażenia, że dokąś się śpieszą.

- Kiedy oni pracują? - pomyślał Robert.

- A kiedy ty pracujesz? - momentalnie odezwał się wewnętrzny głos - A może osiadłeś na laurach po sukcesie? Jak możesz mieć pretensje do innych, że zamiast wykonywać z pewnością durną i kiepsko płatną pracę, robią to, co lubią? Sam uważasz to za największe dobro w tym parszywym życiu.

- Nie pomyślałem, że parszywym - pomyślał Robert
- Więc proszę pisać dokładnie to, co pomyślę. A w czasie kiedy nie myślę, proszę zająć się opisami przyrody, architektury, scen rodzajowych, wspomnieniami, dygresjami i tym podobnymi. Bo jak usłyszę „Pomyślał o byłej żonie” to szlag mnie trafi!

To prawda. Starał się nie myśleć o byłej żonie, która została w Londynie i na złość Robertowi zamieszkała

w sąsiedztwie, więc siłą rzeczy narażony był na częste z nią spotkania. Była żona, na jego życzenie nie wymieniał imienia, nienawidziła go serdecznie. Uczuciem czystym i nieskażonym. Nienawidziła go za to, że zostawił ją w takim momencie życia, w którym uroda przestała już być jej atutem. Bo inteligencja nigdy nie była. Zanim doszło do oficjalnego rozstania, o wiele wcześniej Robert porzucił ją emocjonalnie i seksualnie. Ale nie wystąpił z pozwem rozwodowym. Nie wystąpił i nie wyprowadził się, bo nie miał do kogo. Mimo, że życie uczuciowe i emocjonalne w domu kwitło jak kaktusy na mrozie, nie miał nikogo. Z nikim się nie spotykał i było mu z tym dobrze. Gdy atmosfera robiła się ciężka wychodził do Oldera, pubu na rogu, i spędzał tam czas do momentu, w którym może wrócić i od razu położyć się spać. Nie było sensu zmieniać swojego życia, skoro się nie wiedziało na jakie. A Robert nie wiedział. Przekroczył pięćdziesiątkę, i to już dość dużym krokiem, i nie wiedział, co chciałby dalej robić. Więc tkwił w tym, co jest, z nadzieją, że kiedyś go olśni i już będzie wiedział. I stało się. Przez przypadek. Podczas kolejnej awantury postanowił nie wychodzić do pubu, bo lało i do tego było dość późno. Wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz. I zapadła cisza, poprzedzona energicznym waleniem pięścią w owe drzwi. I ta cisza trwała, i Robert uświadomił sobie, że będzie trwała dopóki on jej nie zakłóci. Gdy tylko opuści pokój i żona to usłyszy, furia huraganu powróci ze zdwojoną siłą. Więc siedział, siedział, aż zmęczyło go to siedzenie i pomyślał, żeby się może czymś zająć. I zaczął pisać porad-

nik. I spodobało mu się to pisanie. Poza tym miał doskonałe, bo zgodne z prawdą, wytłumaczenie na pytanie – Co ty tam do cholery tyle godzin robisz? Po rozwodzie postanowił, że rzuci praktykę, która i tak kokosów nie dawała, miał małe oszczędności w sam raz na przeżycie do czasu, aż skończy pisać poradnik, i pisał. Nie robił sobie wielkich nadziei, że to będzie coś, co odmieni jego życie, ale pisał, bo doszedł do wniosku, że czymś się powinien zająć, a po drugie, że jeśli napisze, to może ktoś to wyda, a jeśli nie, to nikt. Sukces spadł na niego jak dachówka na głowę w drewnianym kościele. Chociaż podobnych życiowych poradników jest mnóstwo, ten Roberta stał się bestsellerem z powodu sposobu, w jaki go napisał. Używał języka potocznego, ilustrował dialogami. Jego książka po prostu żyła, a nie wskazywała kościstym palcem – rób to albo rób tamto. Prawdę powiedziawszy, Robert napisał tę książkę językiem swoich pacjentów. Prowadził praktykę w takiej dzielnicy, że mało kto jej potrzebował, a jak już się na terapii pojawiał, to nawijał jak do ziomala. Jego sesje dalekie były od atmosfery kulturalnych wynurzeń w Chelsea. Ale dzięki temu trafił na witryny wszystkich księgarni w Anglii. W tym momencie już wiedział, co chce w życiu robić. I na razie z nikim się nie wiązać. Co nie znaczyło, że Robertowi nie przytrafiło się parę przelotnych romansów. Czyli mówiąc językiem pacjentów, zamoczył, zakwasił, albo puknął kilka lasek. Nie, żeby na wszelkie sposoby szukał seksu, ale jak pojawiała się propozycja, to nie odmawiał. Dawał się wrywać. W końcu był wysoki, w miarę dobrze zbudowany, miał

gęste włosy przyprószone siwizną, elokwencję, dowcip. No, mógł się dziewczynom podobać. I czasem to wykonywał.

Nie wiadomo kiedy dokładnie podjął nieodwołalną decyzję, że zamieszka na Majorce. Wiadomo tylko, że było zimno. Następnego dnia wsiadł w pierwszy samolot do Palmy i po trzech godzinach wysiadł w pełnym słońcu i temperaturze 24 stopni. To musiało być w styczniu. W styczniu słońce na Majorce świeci przez cały miesiąc i jest pięknie. Ale to jest taka wersja demo dla przyjezdnych. Luty i pierwsza połowa marca są zimne, wietrzne i pada deszcz tak, że jak ktoś z domu nie musi wychodzić, to nie wychodzi. Ale Robert postanowił, że nie wyjedzie stąd, dopóki nie kupi domu. Wynajął samochód, pokój w małym pensjonacie w Sencelles, 18 kilometrów od Palmy, w której oferowano mu jedynie miejsce w hostelu. I rozpoczął poszukiwania domu. Propozycje angielskich agencji nieruchomości od razu odrzucił, bo nie bardzo mu się te posiadłości podobały, poza oczywistym faktem, że nie było go na nie stać. Musiałby sprzedać mieszkanie w Londynie i jeszcze wziąć kredyt. A mieszkanie w Londynie chciał zatrzymać, żeby mieć jakąś alternatywę na wypadek, gdyby latem zmęczyły go upały. Na dodatek mieszkając w angielskiej kolonii w okolicach Andrax, musiałby się obracać w gronie swoich rodaków, którzy poza granicami Zjednoczonego Królestwa bywają dalecy od tradycyjnej angielskiej powściągliwości. Ruszył więc na poszukiwania w małych lokalnych agencjach. Jechał przez jakąś okolicę i jak mu się podobało, a podobało się

wszędzie, to zatrzymywał się w najbliższym miasteczku i wchodził do agencji nieruchomości, w której nikt nie mówił po angielsku. Ale za to mieli w ofercie kilka domów, na które Roberta było stać. I były to piękne stare majorkańskie domy z wypłowiałego na słońcu piaskowca albo układanych na zaprawę z gliny kamieni. Robert nie wyobrażał sobie mieszkania w willi z pustaków. Jak tylko zobaczył w wyobraźni dom na Majorce, to widział, że będzie kamienny. I trafił się taki, który strzelił go jak nagły atak kolki nerkowej. Tyle, że Robert nie zwinął się z bólu, ale zachłysnął z zachwytu. To był ten dom, ten i żaden inny. Dom zbudowany był z kamieni, ciosanych z taką precyzją, że budowniczcy nie musieli używać zaprawy. Obramowania drzwi, okien i parapety były z ręcznie ciętego piaskowca. Dom mógł mieć nawet dwieście lat. Był dość mały, ale Robertowi to nie przeszkadzało. Na parterze kuchnia z wielkim paleniskiem w rogu i mała łazienka, na piętrze jedno pomieszczenie. Łazienka została dobudowana stosunkowo niedawno z pustaków betonowych, co trochę szpeciło oryginalny charakter kuchni, ale było konieczne. Dawni mieszkańcy Majorki sprawy związane z fizjologią załatwiali w wygodkach na zewnątrz, bo każdy dom miał na zapleczu małe poletko, działeczkę, na której rosły pomidory, drzewo pomarańczowe albo nieśplik, potrzebne w kuchni zioła, i szwendały się kury. Cena była na tyle niska, że Robert nawet się nie targował, żeby urwać tych parę tysięcy euro. Nie przestraszył się też, a powinien, wszystkiego, co wiąże się z remontem tego domu. Nie przewidział mnóstwa rzeczy. Kupił dom przy S'Arra-

val w Marii, w samym środku Majorki, gdzie ptaki zawracają, a psy szczekają dupami.

Fryderyk siedział przy fortepianie. Chociaż na surdut narzucił gruby płaszcz z angielskiej wełny, czuł przenikający go chłód. Każdy silniejszy poryw słonego wiatru wdzierał się przez nieszczelne okno w jego celi, w byłym klasztorze w Valldemossie. Oparty o klapę fortepianu, ze wzrokiem wbitym tępo w klawiaturę, naciskał rytmicznie klawisz As. Był w podłym nastroju, dlatego naciskał klawisz czarny. Kiedyś pod wpływem podobnego stanu naciskając bezmyślnie klawisz As, skomponował niechcący poloneza As-dur. Dzisiaj wiedział, że nic nie skomponuje. Dźwięk As nie był dźwiękiem As, tylko czymś pomiędzy A a As, jakieś 1/4 półtonu. Fryderyk chciał usłyszeć czyste As, a nie słyszał. Instrument był kompletnie rozstrojony. Nic dziwnego, fortepian przebył długą drogę z Paryża, dwa miesiące bez mała. Najpierw na wozie, potem na statku, a potem na majorkańskiej dwukółce ciągniętej przez dwa osły na zmianę. Z portu w Palmie do Valldemossy jest jednak sporo pod górkę i jeden osioł mógłby się zagrzać. Wieśniak, którego najęli do transportu, nigdy wcześniej nie wiozł czegoś takiego. Chyba nawet nie widział fortepianu. Na całej wyspie były raptem trzy i żaden się Fryderykowi nie spodobał. A poza tym stwierdził - Nie będę grał po obcych ludziach.

- Ależ - oponowała George. - Oni uwielbiają twoją muzykę. Uwielbiają jak wymiatasz.

- Owszem wymiatam - odparł Fryderyk - Ale Liszt jest szybszy.

- Raz mu się zdarzyło - George pocałowała go w policzek - Ty jesteś szybszy. Czasem nawet za szybki - dodała z filuternym uśmiechem.

Wieśniak, który użyczył swojej dwukółki do przewiezienia instrumentu, pierwszy raz widział, żeby stara baba tuliła się i obściskiwała z jakimś bladym młokosem i do tego w obecności syna i córki. Przez całą, trwającą osiem godzin drogę do Valldemossey, nie odezwał się ani słowem. Zresztą nawet jakby się odezwał, to ani George, ani Fryderyk, ani tym bardziej Maurycy i Solange, nie znali dialektu majorkańskiego, a on nie znał ani francuskiego, ani angielskiego, ani nawet niemieckiego, którego to znajomość w późniejszych latach wśród mieszkańców wyspy znacząco wzrosła. Nie znał ubogi tragarz ich języków, a oni jego. Mógł więc bezpiecznie bluzgać im w oczy z miłym uśmiechem, mówiąc na przykład - Ty zdziro, jak ci nie wstyd, czekaj no tylko ladacznico bezwstydna jak cię pogonimy. Ale nie, milczał. Za to George cały czas głośno zachwycała się każdym mijanym krzakiem, albo kępą opuncji.

Fryderyk siedział w powoziku, podążającym za dwukółką z fortepianem, z miną, która mówiła - Za jakie grzechy mnie to spotyka?

A dzieci się nudziły. Maurycy próbował coś szkicować, ale za bardzo trzęsło, więc przestał.

- Ach te jego rysunki, malowanie - pomyślał Fryderyk i popatrzył na chłopaka - Przecież nie ma za grosz talentu, ja lepiej bym to namalował. Po co George cały

czas mu mówi, żeby malował, bo coraz lepiej mu idzie, i że na pewno będzie wielkim malarzem. A najgorzej, gdy prosi mnie, żebym oceniał te bohomy i oczywiście mówię, że też mi się podobają, i że ma spory talent. A jak on w to uwierzy? Będzie nieszczęśliwy do końca życia, jak się okaże w końcu, że talentu nie ma. Bo nie ma. No ale jak powiem, co naprawdę myślę, to się George na mnie obrazi. Co lepsze, zmarnować chłopakowi życie, czy znosić ciche dni? I zawsze wychodzi, że wolę zmarnować chłopakowi życie. Trudno. Mnie tak łatwo nie było. Chociaż ojciec nie zamykał mnie jak Paganiniego na kilka godzin w ciemnej komórce, żebym ćwiczył. Mój ojciec jakoś specjalnie nie ingerował w przyszłą profesję, dopóki ze Stalowej Woli nie przeprowadziliśmy się jak miałem 7 lat do Żelazowej Woli. Tam ojciec zobaczył fortepian i nagle jakby jakiś diabeł w niego wstąpił. Będziesz grał na tym instrumencie! Zagrasz dla samego cara! No to zacząłem grać. Nie zagrałem, co prawda dla samego cara, skończyło się na namiestniku i paru generałach, a potem się wszystko popieprzyło i wyjechałem do Paryża. Tu przeniósł spojrzenie na George, która właśnie wznosiła peany na widok kolejnej takiej samej, mijanej bugenwilli.

- Moja menago – pomyślał z rozrzewnieniem - A teraz menago pojechała do Palmy szukać stroiciela i przy okazji kupić swoje ulubione cygara, a ja siedzę w zimnej celi przy rozstrojonym fortepianie. Jakbym został skrzypkiem, to sam bym sobie nastroił jak Paganini.

- A może zostać gitarzystą? - olśniło Fryderyka - Instrument niewielki, samemu się stroi i zero problemów.

Rzucić w diabły tego klamota i zająć się smukłą gitarą.

Zaraz jednak porzucił tę radosną wizję. Francisco Tarrega urodzi się za 17 lat, a szał na gitarzystów wymiataczy będzie dopiero w latach siedemdziesiątych XX wieku.

Fryderyk popatrzył na klawiaturę, wstał i trzasnął klapą.

- Akurat dzisiaj, gdy tak bym sobie powymiała! Ręce mi zdrętwiały z tego zimna i wilgoci. Ja muszę grać! A ta mi mówi, żebym drewno do piecyka porąbał. Okej, rozumiem. Jak widzi, że tak się snuję trzeci miesiąc, to chce, żebym się choć trochę użyteczny poczuł i prosi, żebym coś zrobił. Ale siekierę pianiście?! No dobra. Wziąłem tę siekierę, no właściwie taki toporek, małą siekierkę do rozłupywania drewna. Jakbym się za pierwszym razem dziabnął, to poczułaby się winna i już do końca życia miałbym rąbanie drewna z głowy. Z gwoździem podobnie. Kobieta prosi o wbicie gwoździa, walisz się w paluch młotkiem i - Oj kochanie, nic sobie nie zrobiłeś? Daj opatrzę ci, usiądź sobie, a ja sama wbiję tego gwoździa. I w końcu nie wytrzymałem i mówię jej:

- Daj mi już spokój z tym rąbaniem drewna. Wiesz, że nigdy tego nie robiłem, jestem pianistą, wymiataczem, dziabnę się w palucha i już nie będę wymiatać. A ona - Dobrze, to poproszę Maurycego.

- Dziecko chcesz prosić? A jak on się dziabnie albo sobie nawet palce odrąbie? Dziecko chcesz postać, żeby

mnie zawstydzić. Tak? Nie szantażuj mnie w taki sposób!

- Wcale cię nie szantażuje. Ktoś musi porąbać.

- A z miasteczka kogoś się nie najmie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nas nie lubią.

- Nas, to znaczy mnie też?

- A jak ci plują pod nogi, to ty myślisz, że na znak szacunku?

- A nie? Nie znam się na ich zwyczajach ludowych. W Polsce na znak szacunku zdejmuje się z głowy czapkę. A tutaj może pluje.

- Tutaj też się zdejmuje czapkę. Pluje się w innym celu.

- Ale za co oni tak nas nie lubią?

- A to ich się zapytaj.

- Nie znam języka.

- A może ktoś tutaj mówi po polsku? Po polsku jeszcze nie próbowaliśmy rozmawiać.

- Jak po polsku?

- Normalnie. Może mieszka tu jakiś potomek twoich rodaków, który pamięta język ojców.

- I co? Mam podchodzić do każdego i pytać po polsku, czy rozumie po polsku?

- Ależ wystarczy jak się przespacerujesz główną ulicą do rynku, śpiewając na głos jakąś polską ludową

piosenkę, którą każdy zna.

- Jaką?

- No przecież ty się znasz na tych mazurkach i polonezach. „Prząśniczkę” możesz, to każdy zna.

- Ale Moniuszko jeszcze tego nie skomponował,

- A tę o góralu?

- Też nie.

- Naprawdę niczego nie ma?

- Jest „Laura i Filon”.

I zdarzyło się tak, że pewnego słonecznego dnia przez Cale Mayor do rynku szedł elegancko ubrany młody mężczyzna i śpiewał - *Noc już zapadła, psy się pośpiły*. Wszyscy pomyśleli, że to wariat. Od tego czasu wieśniacy pluli mu pod nogi, zachowując większy dystans, bo nie byli pewni, na ile jest niebezpieczny.

- Tak - pomyślał Fryderyk - Tak, tak... - i zamyślił się. I trwałby pewnie w tym zamyśleniu nie wiadomo jak długo, gdyby nie pukanie do drzwi.

- Wujku, co będzie na kolację? - zapytała Solange, gdy otworzył.

- Nie wiem. Mama nic nie zostawiła?

- Nie. Garnek na piecu jest pusty. Nawet zupy nie ugotowała.

- To pewnie zaraz wróci - uspokoił Solange, chociaż dobrze wiedział, że nie wróci.

- Mama nie wróci na noc. Już za późno.

- Rezulutna dziewczynka - pomyślał Fryderyk. I taka dziewczynska. Na szczęście George nie zmuszała córki do przyjęcia jej sposobu ubierania i Solange miała na sobie zwykłą sukienkę, która zaczynała uwypuklać się odrobinę na jej rosnących i dojrzewających krągłościach.

- Nie jestem pedofilem - pomyślał Fryderyk. - To może pederasta?! - przeraził się. Skoro sypiam z George, która wygląda jak facet, to pociągają mnie faceci? - No tak - uspokoił się - Gdyby naprawdę pociągali mnie faceci, to sypiałbym z facetami, a nie z George, która tylko wygląda jak facet. I do tego pali cygara, których nie cierpię. Dym mi szkodzi, mam delikatne płuca. A ta cygara z ust nie wyjmuje. Ja rozumiem, jak idziemy gdzieś na imprezę, to musi się z tym cygarem lansować. Ale ona w domu pali. Siekierę idzie powiesić. Na szczęście tutaj okna i drzwi nie są zbyt szczelne i wywiewa. Ale w Paryżu? Nie da się wytrzymać. A jak się otworzy okno, to zimno leci, a to też nie jest zdrowe na płuca. No to mi mówi pewnego dnia:

- Pojedziemy na Majorkę.

- Co?! Na Majorkę?

- Jest taka wyspa na Morzu Śródziemnym.

- A nie moglibyśmy do Prowansji? Też jest nad Morzem Śródziemnym i bliżej.

- Kochanie, Prowansja jest droga. Nie stać nas. Sam wiesz jak teraz ciężko o koncerty. Jeszcze rok temu nie siedziałbyś tutaj z założonymi rękami, tylko wymiatał

w salonie Madame Pompadour albo w Centrum Pompidou za grube pliki franków.

- To załatw jakieś granie.

- Nie jest łatwo. Liszt jest szybszy.

No jak mi powiedziała, że ten madziarski wypierdek jest szybszy, to mnie szlag jasny trafił.

- Szybszy?! Zobaczymy! Zorganizuj nam pojedynek. Jeden fortepian i gramy na zmianę. Zwycięzca bierze całą kasę.

- A wygrasz?

- Z palcem w dupie dokopię temu Ferencowi (cóż za ohydne imię, nawiasem mówiąc).

Do słynnego pojedynku pomiędzy Fryderykiem i Ferencem (cóż za ohydne imię, nieprawdaż) doszło po godzinie 18. czasu środkowo-europejskiego 12 października 1838 roku w Paryżu, w salonie baronowej de Pompadour, najpopularniejszej wtedy spelunie w mieście. W przekazach i kronikach jest wystarczająco dużo wzmianek o tym wydarzeniu, dość powiedzieć, że George i Fryderyk pojechali jednak na Majorkę.

- Będzie wspaniale, zobaczysz - przekonywała George - Tam są takie przeciągi, że nawet nie poczujesz odrobiny dymu. Weźmiemy dzieci i popłyniemy na Majorkę.

O ile wizja pobytu z George w dobrze wentylowanym pomieszczeniu była dla Fryderyka wręcz ekscytująca, o tyle propozycja zabrania dzieci już nie.

- Ale po co dzieci?

- A co ja z nimi zrobię? Na guwernantkę nas nie stać. Mieszkanie już na pół roku wynajęłam i wzięłam z góry. A dzieci chodzą wcześniej spać i nie będą nam przeszkadzać.

- Maurycy nie chodzi wcześniej spać. Mam wrażenie, że nas podgląda przez uchylone drzwi.

- Jest nastolatkiem, to normalne.

- Co? Podglądanie matki z nogami w górze?! To jest chore! Normalny chłopak podgląda koleżanki, no czasem założy majtki matki, ale na tym się kończy.

- Zakładałeś majtki swojej matki?

- Nie zakładałem, ale to się mieści w normie, a to, co robi twój syn, nie jest do zaakceptowania.

- Podejrzewałam, że nie złapiecie od razu kontaktu. Maurycy dokładnie to samo mówi o tobie. Że beztalencie, tylko wymiatać potrafi, że jak małpę przyuczyć, to też tak zagra. I że nie jesteś normalny.

- Nie zakładałem majtek swojej matki. A dlaczego mówi, że beztalencie?

- Bo ty tak o nim mówisz.

- Nie powiedziałem tak nigdy.

- Ale pomyślałeś. A przynajmniej widać to było na twojej twarzy, gdy pokazywał ci swoje obrazy i rysunki. Maurycy jest bystrym i spostrzegawczym chłopcem.

- To nie znaczy, że może nas podglądać w czasie seksu.

- Może ciebie podgląda i się uczy. Nieważne. Dzieci jadą z nami i będzie wspaniale, zobaczysz! Będzie

słońce, piękna pogoda, proste wiejskie życie.

- Jakie wiejskie?

- Wynajęłam pokoje w takiej agroturystyce w górach.

- Myślałem, że w Palmie.

- Kochanie nie stać nas, zapomniałeś?

- Co będzie na kolację wujku?

Z zamyślenia wyrwała Fryderyka Solange, beczere-
monialnie ciągnąc go za połę surduta, która wystawała
spod płaszcza z grubej angielskiej wełny.

Fryderyk zdjął płaszcz i okrył nim zziębnięte ciało
Solange, która stała już dobrych parę minut w prze-
ciągu zimnego powietrza, usiłując dowiedzieć się co bę-
dzie na kolację, bo mama na noc na pewno nie wróci.

Solange pewnie wiele razy słyszała, jak przy ku-
chennym stole George i Fryderyk wyśmiewali zabobon
miejscowej ludności, że na drodze nocą grasuje wilko-
łak, wyje, popierduje, a ślepie mu się świecą jak latar-
nie. Nikt, ani z Valldemosy, ani z Palmy nie zgodzi się
na transport przed zmrokiem. Opowieści o wilkołaku nie
były jednak zmyśłone, rzeczywiście mieszkańcy widy-
wali dwa ślepie przesuwające się w ciemnościach. Oczy-
wiście nie mieli pojęcia, że to nocne testy prototypu sa-
mochodu. Próbne jazdy przeprowadzano pod osłoną
ciemności, żeby konkurencja z Niemiec nie mogła pod-
patrzeć. A owe ślepie to tylko światła poruszające się
po krętej, górskiej drodze. No ale z racji, że próby były

ściśle tajne, mieszkańcy nie mieli o niczym pojęcia, więc poszedł w lud zabobon i nikt się po zmroku na drogę nie wypuszczał. W kuchni było przerażająco pusto. W żadnym, nawet najmniejszym garnuszku nie było na dnie niczego, co dałoby się wyskrobać. Oczywiście garnki jak zwykle były nie umyte, ze śladami potraw sprzed paru dni, ale niestety resztek nie było żadnych.

- Maurycy wyżarł - stwierdziła pewnym tonem Solange.

- Nie oskarżaj brata.

- Ale widziałam. Wstaje w nocy i zakrada się do garnków i wyżera co jest.

- A jak ty to widziałas? W nocy powinnaś spać.

- Maurycy zawsze jak wstaje, to mnie budzi, no to idę za nim i patrzę co kombinuje.

- I tylko do kuchni chodzi?

- Tak, wyżera i wraca.

Fryderyk odetchnął z ulgą. Wydawało mu się, że Maurycy podgląda. Chyba ma zbyt bujną wyobraźnię.

- A ty co robisz?

- Też wracam do łóżka - odparła Solange - Ale przedtem sobie trochę patrzę jak się z mamą kotłujecie. No, co tak cię wujku замуrowało? Nie ma nic do jedzenia, to trzeba iść na pizzę do tawerny.

- Znowu mnie oplują - oponował słabo Fryderyk.

- Ale ja głodna jestem. Tylko coś na siebie narzucę i idziemy.

Robert nigdy nie przepadał za pizzą, co nie znaczy, że nie przełknąłby tego dania jak niektórzy ostryg. Są ludzie, którzy za żadne pieniądze nie połkną ostrygi. I Robert do nich właśnie należał. Nie rozumiał, jak można płacić i to niemało za coś, co wygląda jak glut, który wypadł z nosa, i to łykać. Lepiej łyknąć własnego smarka. Ale do pizzy nic nie miał. A jedna nawet spowodowała jego nawrócenie kulinarne. Ta, którą podawali w Ca'n Tomeu, gdzie wpadał na beczkowe piwo Estrella Galicia. Kiedyś do piwa podano mu tapas. Dwa kawałeczki zimnej pizzy. Robert wołałby co prawda oliwki z chlebem i ajoli, ale na darowane się nie wybrzydza, bo nie zawsze i nie wszędzie do piwa dają tapas. I w końcu sięgnął po ten kawałeczek i poczuł smak kompletnie zaskakujący w swojej wyrazistości. Przeżuł starannie pierwszy kawałek i z pewnym nabożeństwem sięgnął po drugi, starając się, już teraz ze świadomością czego się spodziewać, wyszukać jeszcze inne poboczne smaki. No, to mu po prostu smakowało. Poprosił kelnerkę, żeby się dowiedzieć co zjadł i zamówić więcej. Pokazał na talerzyk po tapas a potem zrobił kółko rękami.

- *Pizza majorkina, si?* - ucieszyła się kelnerka

- *Pizza majorkina, por favor* - odparł Robert, zadowolony, że nie zapomniał dodać por fawor. Więcej problemów sprawiło mu przestawienie się na prawostronny ruch drogowy. Zanim zdecydował się na kupno samochodu, jeździł wypożyczonym - miesiąc za 250 euro. Niczym się nie martwił. Samochód był ubezpieczony, jak kogoś zarysuje, nie będzie problemu. Parę razy przytarł

lusterka, usiłując zjechać jak najbliżej brzegu prawego pasa, bo wydawało mu się, że wąską, krętą drogą jedzie po angielsku. A że właściwie wszystkie wiejskie drogi na Majorce są obudowane szczelnie z obu stron wysokimi ogrodzeniami z kamienia, więc przytarcie lusterek lokalsom też się zdarza. Poobijani zresztą jeżdżą potwornie, co z kolei wynika z szerokości uliczek majorkańskich miasteczek. Gdy je budowano, na głównej ulicy miały się minąć dwa wozy zaprzężone w osły. Nikt nie myślał, że w ten zakręt ma się zmieścić taka na przykład tesla. O zwykłych dostawczakach nie wspominając. Wszystko, co gabarytami przewyższa majorkańską dwukółkę, ma problemy. Najpopularniejszym samochodem, na wsiach przynajmniej, jest Renault 4 albo Citroen c 15, czyli samochody, których produkcję zakończono prawie pół wieku temu. I właśnie o takim samochodzie Robert pomyślał, gdy zdecydował się na zakup swojego pierwszego pojazdu zarejestrowanego nie w Wielkiej Brytanii. Renault 4. Mały, ale pakowny, czworo drzwi plus duża kłapa bagażnika, zwrotny, oszczędny i łatwy w naprawie. Idealny na wycieczkę w Sęrra Tramuntana, jak i do przewiezienia paru worków cementu i innych drobiazgów. Nawiasem mówiąc próbne jazdy Renault 4, zanim zdecydowano się zaprezentować ten model na salonie motoryzacyjnym w Genewie, odbywały się na drodze z Palmy do Valldemossy. I to właśnie ten samochód brano za wilkołaka, gdy ślepiami świecił, warczał i popierdywał. Bywało, że zgrzytał potwornie, co budziło szczególną grozę, ale były to

tylko problemy z wydającą takie odgłosy skrzynią biegów.

- Śmieszne wujku, co ci wieśniacy opowiadają, prawda? - zapytała Solange.

- Tak - odparł Fryderyk i rozejrzał się po sali tawerny, do której poszli na pizzę. Przy ciosanych stołach siedzieli chłopci, pili wino i głośno się śmiali pokazując zepsute i niepełne uzębienie.

- Cholera - pomyślał Fryderyk - zapomniałem o wizycie u dentysty. Przypadnie mi. Najlepszy dentysta w Paryżu, pół roku się czeka. Jak ja teraz dostanę się do Paryża? Od razu odrzucił pomysł, żeby jednak do przeglądu uzębienia udać się do dentysty w Palmie. - Co mi jacyś obcy ludzie będą w zęby zaglądać.

Fryderyk miał obsesję na punkcie swoich zębów. Służyły mu do rozsyłania szerokich uśmiechów. Robił to bardzo często. Nawet jak wymiatał, skupiony, pochylony nad klawiaturą, nie potrafił się powstrzymać, żeby do publiczności zębami nie błysnąć. Miewał koszmary senne, w których żuł własne zęby, a potem taką krwawą papkę wypluwał w garść. - Mam nadzieję, że nie popsują mi się od ich jedzenia - pomyślał - Chociaż ta pizza naprawdę była dobra.

- Tak Solange, śmieszni są. I głupi,

- Nie mów tak o prostych ludziach Fryderyku - napomknął go głos wewnętrzny - Może tobie wydają się śmieszni i głupi. A jak ty byś w nocy zobaczył coś, co świeci dwoma ślepiami, warczy, popierduje i zgrzyta na

dokładkę, to co byś pomyślał? Że renówkę testują po nocach? I nie ucz Solange lekceważenia innych ludzi.

- Nie, nie, Solange, przepraszam, zamyśliłem się - powiedział Fryderyk - Nie są śmieszni i głupi. To nie ich wina, że mieszkają tutaj.

- Mogą się wyprowadzić - rezolutnie odparła Solange.

- Dokąd? Do sąsiedniej wioski?

- No ty się przeprowadziłeś ze Stalowej Woli do Żelazowej. Myślałam, że to w sąsiedztwie.

- Nie, to ponad 300 wiorst.

- Ale potem do Francji. - naciskała Solange - To oni też by mogli.

- Ja to co innego. Mam talent, wymiatam, a ten o - wskazał na siedzącego pod przeciwną ścianą chłopca, który zdecydowanie splunął mu pod stopy, gdy tylko przekroczyli próg tawerny - Jaki on może mieć talent?

- Celnie pluje, na buty ci nie napluł.

- I co on by z tym talentem zrobił w Paryżu?

- Mógłby pluć do celu. Za pieniądze. Facet pluje do coraz mniejszych kubeczków, ludzie chcą to oglądać i płacą. Jak z tobą.

- Ze mną?! - poderwał się od stołu Fryderyk, ale momentalnie uspokoił się, nie chcąc zwracać na siebie uwagi - Jak możesz porównywać tego bezzębnego wieśniaka do mnie.

- Ależ nie porównuję. Na tym polega szolbiznes. Mama ci nie mówiła? To chyba ja o tym wiem więcej od

ciebie. Z biznesowego punktu widzenia występ tego wieśniaka z pluciem może okazać się rentowniejszy od twojego koncertu. Tylko się nie obrażaj, mówimy o pieniądzach.

- Nie chcę mówić o pieniądzach. Z twoją matką wystarczająco dużo o tym rozmawiam. Smakowała ci pizza? - zmienił temat, żeby z Solange nie rozmawiać o tym, o czym zbyt często, jego zdaniem, rozmawiała z nim George.

- Dobra - odparła Solange i znacząco popatrzyła na ostatni kawałek leżący na grubym kamionkowym talerzu.

- Zjedz - odparł Fryderyk - jak ci smakuje.

- A tobie nie smakowała?

- Owszem, dobra, nie tak dobra jak flaki, ale smaczna.

- Co to są flaki?

- Taka polska potrawa.

- Z czego?

- Z flaków.

- I to się je ?

- Ze świni wszystko się je. Tak jak pan Bóg stworzył, że nic się ze świni nie zmarnuje. Nawet ryj i uszy. I ogon.

- Taki mały kręcony? I to też się je?

- Wszystko. Kopyta się je, kości się wysysa, a sierść się opala, skrobie i dodaje jako spulchniacz do bagietek.

- Ohyda – skrzywiła się Solange.

- W Polsce robi się chleb na naturalnym zakwasie – powiedział Fryderyk - Z tej pszenicy, która się w okolicach Stalowej Woli kładzie w promieniach zachodzącego słońca złotym łańcem.

- Wujku, a ty nie myślałeś żeby wiersze pisać? Tak ładnie to powiedziałaś.

- Jest taki co mówi ładniej o ojczystych polach. Mickiewicz Adam.

- Nie znam. A co napisał?

- O takim młodzieńcu, który wraca do domu na Litwę i robi się niezła rozpierducha z wątkiem kryminalnym i mroczną tajemnicą z przeszłości. I oczywiście seks. Z dwiema. Starsza i młodsza.

- Fajne, podoba mi się. Ciekawe dlaczego mama nie ma tego w swojej bibliotece? Mama uwielbia takie historie.

- Bo on to po polsku napisał.

- We Francji?

- Tak.

- Głupi jakiś. Jakby po francusku napisał, to byłby hicior. A po polsku, kto mu to kupi?

- Nie o pieniądze chodzi.

- A o co?

- Nie zrozumiesz - odparł Fryderyk i zamyślił się nad krainą dzieciństwa. W Stalowej Woli, gdy jeszcze nie musiał grać na fortepianie, biegał radosny wśród lasu falujących nad jego głową kłosów. Raz nawet zgubił się

i wszyscy z folwarku zaczęli go szukać. Znaleźli w końcu, ale w czasie poszukiwań całe pole zdeptali. Wspomniawszy sobie, gdy go już cudem odnalezionego postawiono przed surowym obliczem ojca i gdy spodziewał się najgorszej możliwej kary, czyli pasem na dupę, ojciec pochylił się i szepnął mu na ucho - Nie chodź synu więcej w zboże, dziś miałeś szczęście żeśmy cię w porę znaleźli, ale tam są wołki zbożowe - po czym podniósł się, wyprostował i rzekł - Ale pasem na dupę i tak dostaniesz, żebyś zapamiętał. Mały Fryderyk nie miał pojęcia, co to są wołki zbożowe, ale jako chłopiec bystry skojarzył, że mają coś wspólnego ze zbożem i z wołem. Czają się w zbożu, żeby człowieka zjeść. Oj tam zaraz zjeść, nadgryźć może. Wołki nie są aż tak duże, żeby mogły człowieka zjeść, chyba, że jest ich też dużo jak piranii. I w wyobraźni zobaczył te obłazące go ze wszystkich stron wołki i nigdy więcej w zboże nie poszedł. Ale po jakimś czasie ten epizod odezwał się jednak w jego podświadomości, bo jako dojrzały mężczyzna często wspominał o świniobiciu w swojej wsi.

- No więc flaki to taka potrawa w moim kraju, którą się robi z wnętrzości świnki.

- Mów do mnie normalnie wujku.

- Świni. Wali się ją obuchem siekiery między oczy, wieszka łbem w dół, spuszcza się jej krew do wiadra a potem podstawia się koryto i wszystko co jej z bebecchów wypadnie, się zabiera, i...

- Niedobrze mi się robi.

Koniec wersji demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy
miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

